NIEDZIELA DLA DZIECI

Nr. 23. Częstochowa, dnia 29 listopada 1936 r. Rok VI.



SMACZNY CHLEBUŚ

Pusto, głucho, drzwi zamknięte,
Więc na schodkach dziatwa siadą
Oczekuje przyjścia mamy
Trochę głodna — więc nie radą.

Ale dobra sąsiadeczka
Smutną dziatwę zobaczyła
Wzięła noża i po kromce
Smaczny chlebuś pokroiła.

ADWENT.

W dzisiejszą niedzielę zaczyna się czas adwentu. Czy wiecie, co oznacza to słowo? Posłuchajcie:

Każda część roku kościelnego przedstawia inny okres z życia Jezusa Chrystusa i zapewnia nam szczególne łaski. Ważną rzeczą jest wniknąć w ducha każdego z tych okresów. Radość z rychłego przyjścia Zbawiciela jest w znacznej mierze, myślą przewodnią czasu adwentowego. W trzecią niedzielę adwentu ołtarz przybiera się kwiatami, ornat może być różowy i dają się słyszeć organy. Od VII wieku liturgia adwentowa przybrała zarazem charakter pokuty, który wyraża się fioletowym kolorem szat kościelnych.

Z każdej stronicy nabożeństwa adwentowego dochodzi do nas tęskne wołanie do Mesjasza: Przyjdź, a nie zwlekaj! Dusze nasze, przyjmując z radością Syna Bożego, przychodzącego nas odkupić, staną też przed Nim z ufnością, gdy przyjdzie nas sądzić.

W czasie adwentu módlmy się razem z kościołem: „Okaż nam, Panie, miłosierdzie Twoje, a zbawienie Twoje daj nam".

NA RORATY.

Dziś raniutko dzwony biły,
Pukały do chaty...
Zawołały z całej siły:
Chodźcie na roraty!

Chodźcie z nami do kościoła,
— Ludu będzie mrowie —
Tam zrzucicie troski z czoła...
Już klęczą dziadowie.

Skrzypią cicho wsi wierzeje..
Mróz trzaska w ciemnicy...
Ludzie spieszą w nocy knieje
Do Boskiej świątnicy.

Bo w świątnicy jest cudownie,
Zaduma i gwary...
Wygląd bajki dziś dosłownie
Ma kościółek stary.

Chodźcie z nami, mówią dzwony,
W czas grudniowy ranny!
Niech popłynie hymn wyśniony
Dla Najświętszej Panny. *M. N.*

NA ŚWIĘTEGO MARCINA.

(Dokończenie).

Stacha skoczyła z radości—pierwsza klasa niespodzianka. Raniutko, w dzień św. Marcina, położymy buty i list od świętego pod drzwiami Wróblów.

Teraz delegacja do rodziców. Stacha pobiegła na zwiady. Ojciec w pracowni, a mama w kuchni u Marianny. Grunt z ojcem sprawę załatwić. Cichutko na palcach myk, myk, pod drzwiami gabinetu. Dzieciom tam wchodzić nie wolno.

— Zapukaj — mówi Krzych do Stachy. — Zapukaj ty, Krzycho.

— Proszę.

Wcisnęli się odrazu we troje.

Przyszło to najtrudniejsze: wypowiedzenie rzeczy łatwej, sprawy jasnej, jak słońce.

— Nic nie rozumiem — rzekł ojciec bezradnie rozkładając ręce.

— Św. Marcin, wróbel, buty, śnieg. Kogóż to chcecie ubrać w buty? Św. Marcina, wróbla?

— Nie, nie wróbla, chłopca z suteryny.

— Nie mówcie wszyscy razem. O co chodzi Stasiu?

— Nareszcie. Hm, bardzo pięknie pomyślane, ja sam chętnie się przyczynię do tej sprawy, ale nic bez mamy.

Dzieci przytaknęły ze zrozumieniem.

Tam poszło równie łatwo.

Matka była przeciwna sprzeda-

waniu książek.

— W łazience są zeszłoroczne buty Wacka. Wierzchy zupełnie mocne, całe. Buty oddacie szewcowi do podzelowania, pieniądze na zapłacenie reperacji macie w skarbonkach. Oprócz tego przepatrzę rzeczy, może jeszcze niejedno znajdzie się dla waszych Wróblów.

W Wacku skrzepło serce. Jego dziesiątki nie wiadomo gdzie teraz koczują. Od początku wrzucał je do automatu przed szkołą za czekoladki wyborowe — wyznał ze skruchą.

— Brzydki obżartuchu — zaperzył się Krzyś. Ale i bez tego Klucha był zmiażdżony przez własne serce. Każdy przysmak w tej chwili straciłby w jego ustach swój smak rodzony, zgorzkniał, jak piołun.

W tej chwili zaczął padać śnieg.

Ale Stacha i Krzyś nie pobiegli do okna. Wyłuskiwali po nożu ze skarbonek dziesięciogroszówki. Byli pochłonięci robotą i budzącą niepokój. Ile tego jest, czy aby starczy?

Sześćdziesiąt siedem dziesiątek, czy sześć złotych, siedemdziesiąt groszy.

— Grubasie, Klucho, wstyd ci teraz. Widzisz, człowieku, dobrze zjeść tabletkę Optima, ale to rzecz zbyt nędzna, więc lepiej nie zjeść i czekać lepszej lokaty dla zbywającej dziesiątki. — Tak mówiło Wackowe sumienie.

— Klucho, bierz buty, idziemy do szewca.

Pan Szczęsny jest dobrym majstrem. But dla niego, to jak chory dla lekarza. Z miną skupioną ogląda obuwie, gniecie je od spodu i od wierzchu. Czeladnicy zaprzestali roboty, czekają, co powie majster.

— Buty dycht, nie tendetne — mówi pan Szczęsny — zelówki trzeba mocne.

— O, tak — przyświadcza Krzyś — zelówki chociażby z nosorożca, a ćwieków stalowych proszę też nie żałować.

— I na św. Marcina proszę to zrobić koniecznie — wtrąca Stacha.

Pan Szczęsny nie lubi dużo mówić. — Zrobi się.

— Wszystko musi być tajemniczo — mówiła wieczorem Stacha — Wróblowie nie mogą się domyśleć od kogo pochodzi podarunek. Św. Marcin przyniósł i już. Najtrudniej było z listem od św. Marcina, bo kto może wiedzieć, jak święci pisują listy. Zgodzono się, że musi być wierszem.

Klucha uchodził za talent poetycki. Wziął się do pracy. Pocił się, darł kartki, gryzł pół obsadki, ale napisał; sam czuł, że musi poratować swą godność.

Św. Marcin naprawdę na białym koniu przyjechał. Całe dwa dni sypał śnieg, było go wyżej kolan. Wiedzieli o tem pierwsi: Stacha, Krzyś i Klucha, bo w ten dzień bardzo wcześnie wstali.

Felek i Anka Wróblowie, choć tak że raniutko wstali, nie mieli czasu zajmować się śniegiem. Coś ważniejszego ich zajęło.

Wychodząc, jak zwykle po gazety z domu, znaleźli pod progiem paczkę, owiniętą w srebrny papier. Były to buty niesłychanie mocne, na twardych, jak stal, zelówkach. Do paczki przyczepiona była kartka z wizerunkiem św. Marcina i złotoczerwonym napisem:

Ja, Marcin święty,
Nie lubię, żeby chłopaki,
Kiedy śnieg duży taki
W domu się kwasiły,
Więc Jędrkowi Wróblowi
Posyłam te chodaki.

DWIE DOLE.

Sobota. W pracowni krawcowej wre: tę suknię trzeba wykończyć, tamtą odprasować. Już zbliża się południe.

Pośpiech. Migają igły, turkocą maszyny, skrzypią nożyce.

W kącie za szafą krawcowa wiesza dwie gotowe sukienki: jedną czerwoną, jedwabną, drugą błękitną — mundurek krucjaty. Czekają na odbiór przez swe właścicielki, które jeszcze jakoś nie nadchodzą. Nudzi się im, więc zaczynają gawędzić:

„Jak długo panią szyto?" — pyta czerwona sukienka sąsiadkę.

„Dwa dni" — odpowiada zagadnięta.

„Dwa dni! Ha! Ha! Ha! No pewno, taki pospolity fason! Mnie pewno z pięć! A krawcowa dobrze nałamała głowę nad krojem, bo to nie byle jaki, tylko kloszowy według ostatniej mody!"

„Ale pani jest jeszcze niewykończona: brakuje rękawów!"

„To się nie znacie na modzie! Rękawy? Poco? Mam za to pelerynkę z puszkiem i sześć falbanek!" — zawołała czerwona sukienka, nadymając się, jak balon. „U was, moja dobrodziejko, nie widzę jakoś ozdób, jest tylko żółty krawat, białe zwykłe guziki i... ha! ha! ha! skórzany pasek! Jak u żołnierza! Ha! ha! ha!"

„Żółty kolor to kolor papieski, bo moja właścicielka należy do Krucjaty, której Wodzem jest Ojciec św. Słyszałam, jak przy mnie tłumaczyła to swojej cioci".

„Niewiele to doda piękności. Moja właścicielka ma ładne korale, broszkę, nawet bransoletkę. Jak mi będzie do twarzy z tym wszystkim! Ho! ho!"

„A moją ozdobą będzie żółty sznur i jasny znaczek na granatowym krzyżu"

„Proszę sobie wyobrazić, że będę miała jeszcze zgrabny czerwony berecik! To razem utworzy jedno cudo! Zdaleka mnie wszyscy będą podziwiali, gdy jedwab w słońcu rozbłyśnie! Wszycy o mnie mówić zaczną!"

Niebieski mundurek posmutniał. On był z płótna i miał z takiego samego materiału kapelusik. Nie zabłyśnie w słońcu jedwabiem — nie!

„Ot widzicie, moja droga, zawsze płótno będzie płótnem ,a jedwab jedwabiem" — dokuczała czerwona sukienka zawstydzonemu mundurkowi.

Więc biedaczek jeszcze bardziej wtulił się w kąt pokoju i począł rozmyślać nad swoją niższością. Smutne to rozmyślanie przerwało wejście do pracowni dwóch dziewczynek. Wiszące za szafą sukienki rozpoznały głosy swych właścicielek.

„Jutro jest przyjęcie do Krucjaty" — mówiła Danusia. — „Jak się cieszę, że mam nareszcie tak upragniony mundurek!"

Niebieska sukienka drgnęła — naprawdę ona się tak cieszy, więc... czy to być może?...

„A czy moja czerwona już gotowa?" — pytała druga dziewczynka, Wercia. — „Mam zaproszenie na jutro do kuzynki, więc muszę się wystroić".

* * *

Minęło parę lat od tego czasu. W dużej szafie w domu rodziców Danusi i Werci znalazły się obok siebie nasze dawne znajome.

„Dzień dobry pani" — zagadnęła nieokreślonego koloru szmata. — „Czy poznajecie mnie?"

Niebieski mundurek strzepnął rękawami ze zdumienia.

Co, ta podarta i wyplamiona szmata przyznawała się do znajomości z nim?

c. d. n.